

Z uśmiechem Szeherezady na ustach

31 maja 2008

Na początku był chłód. Dojmujące zimno, które przenika całe ciało, nie pozwala spać ani myśleć. Towarzyszy mu ciemność, raz po raz rozjaśniona błyskiem zębów w śniadych twarzach lub światłem bijącym z telefonu, który jako jedyny z obecnych ma tyle sił, by o trzeciej nad ranem śpiewać. Warto zapamiętać, że jeśli to nie koszmar po lekturze „Baśni tysiąca i jednej nocy”, to musi być egipski autobus zdążający z Hurghady do Kairu.

Przyczyny obecnego stanu należy szukać w rodzinnych, egzotycznych wakacjach. To rodzice namówili mnie bym opuściła leżak na plaży, szum morza a nawet hotelowe śniadanie, by zwiedzić „kawałek świata”. Tylko chęcią przygody można wytłumaczyć fakt, że zamiast zapłacić za wycieczkę organizowaną przez biuro turystyczne, postanowiliśmy wybrać się do Kairu na własną rękę. W ten sposób uniknęliśmy wycieczki rodaków z przewodnikiem, klimatyzowanym autobusem, zapewnionym posiłkiem i innych tego typu atrakcji. Jak się dowiedziałam od taty w ten sposób odmawiając sobie statusu „turystów” staliśmy się „podróżnikami”. Z uwagi na wiatr hulający w autobusie, który wydaje się zbudowany sposobem MacGyvera; z pudełka zapalek i gumy do żucia (z przewagą tego drugiego), trudno powiedzieć czy termin „podróżnicy” to nobilitacja.

I tak od 23:30 marzniemy w afrykańskim autobusie. Trzeba przyznać, że o ile ogrzewanie nie działa, fotel z oparciem stanowi rzadkość, a już możliwość odchylenia go, to luksus, to jednak głośniki funkcjonują bez zarzutów. Oznacza to, że nawet jeśli któryś z pasażerów spróbuje zasnąć, może mieć pewność, że kierowca do tego nie dopuści włączając nad ranem piękne pieśni, które w takich okolicznościach brzmią, jak charczenie

wielbłąda, przerywane kocimi jękami, z których najłatwiej wyłowić najpopularniejsze słowo „Habibi” czyli „kochanie”. Jednak jeśli kierowca „opuści się w obowiązkach”, wspomógł go uprzejmy pasażer, który także będzie nam umilał drogę muzyką z własnego telefonu.

O piątej nad ranem ujrzelśmy nasz komitet powitalny złożony z gwarne go tłumu pomocnych taksówkarzy lub właścicieli hoteli, którzy co dzień zapewne witają nowo przybyłych, by zaoferować swą pomoc. Jeśli komuś naprawdę chce się uśmiechać i nawoływać o światło, nie powinno się tego ignorować, toteż wyłowiliśmy taksówkarza, który zawiózł nas swym czarno-białym pojazdem do raczej taniego niż przytulnego hotelu. Dziwny zapach w pokoju zwrócił uwagę na cechę charakterystyczną dla Kairu – bezgraniczny eklektyzm. Za hotelowym oknem rozciągał się dużych rozmiarów śmietnik, nad którym górowała, kontrastując niegdyś zapierająca dech w piersiach willa w stylu wiktoriańskim.

Sam widok łóżka napawał optymizmem i przywodził na myśl domowe ciepło, bez którego jednak należało się obejść, z uwagi na problemy barczystego chłopca hotelowego, który nawet za pięć funtów egipskich nie potrafił włączyć ogrzewania.

Około 9:00 po krótkich negocjacjach z kierowcą taksówki udaliśmy się do Starego Kairu. Jest to jedna z najstarszych zamieszkałych części miasta „Masr al-Qadima” , z uwagi na wiele zabytków z czasów pierwszych chrześcijan nazywana Kairem Koptyjskim. Miałam okazję zobaczyć Kościół Zawieszony, w którym jedną z relikwii stanowi pestka oliwki zjedzonej przez patronkę świątyni – Marię. Informuje o tym nawet niezbędny towarzysz tej podróży „Pascal” – przewodnik. Jednak autor książki zapomniał wspomnieć o trójwymiarowych breloczkach z wizerunkiem Jezusa, w jakie można się tam zaopatrzyć.

Wędrując po Kairze bardzo trudno jest kontemplować nastrój zaśmieconych ulic z osłem przy wozie na każdym rogu, ponieważ na drodze możesz spotkać wielu przyjaciół. Przy czym

Egipcjanie, którzy chcą coś sprzedać tytułują się od razu przyjacielem, choć w ich wykonaniu brzmi to ja „frende”, co stanowi mieszankę dialogów z James’a Bonda i gardłowego arabskiego „r”. Co prawda to słowo zależnie od sytuacji, wieku, płci może mieć różne znaczenia. Przyjaciel może być dobrym – hojnym klientem, nawianym turystą a nawet przyszłą żoną ich mniemaniu.

W południe zerwał się porywisty wiatr, niosący ze sobą zapach i pył pustyni, więc gdy dotarliśmy na wzniesienie, na którym znajdowała się Cytadela, oczom naszym ukazała się chmura pyłu pomieszana ze smogiem, która tworzyła mgłę, pokrywającą całe miasto kolorem sepii. „Pascal” nazywa to: „...malowniczą panoramą Kairu.”. Zaiste, widok (a najbardziej pył i kurz jak w czasie burzy piaskowej) zapierał dech w piersiach. Wiatr na wzgórzu zdawał się wnikać przez płaszcze pod skórę oddzielając ciało od kości.

Schodząc do miasta spotkaliśmy przyjaciela, który w odpowiedzi na pytanie o tanią restaurację, ofiarował się zostać naszym przewodnikiem. Poprowadził nas przez zakamarki Kairu arabskiego. Po tysiącu zakrętach wśród uliczek z ogniskami na chodnikach, warsztatach i sklepikach o bliżej nieokreślonym przeznaczeniu, mieliśmy poznać tętniące życiem, prawdziwe egzotyczne miasto. Zwyczajnych ludzi, kobiet zakrytych chustami z siatkami „Carrefour” na głowach, umorusanych dzieci na rowerkach, które śmiejąc się strachowi w twarz, wyjeżdżały na dwupasmówkę, czyli prawdziwą miejską dżunglę, gdzie człowiek musi walczyć o życie wśród zgiełku klaksonów, smrodu benzyny i kierowców, którzy zdają się nie zauważać różnicy między miękką materią ludzkiego ciała, a blaszaną maską samochodową.

Nasz przewodnik, który jak twierdził był nauczycielem historii, opowiadał różne ciekawostki, okraszając je typowo egipskim humorem i rubasznym śmiechem. W końcu doszliśmy do restauracji, choć to określenie nie oddaje w pełni charakteru pokoiku, wyglądającego jak przerobiona łazienka wciąż wyłożona

białymi kafelkami. Zza lady uśmiechało się trzech mężczyzn, dla których stanowiliśmy nie mniejszą atrakcję niż oni dla nas. Przemarznięci czekaliśmy na coś, co nasz przyjaciel nazywał enigmatycznie „koszary”, twierdząc, że to egipskie danie. Choć zimna mieszanka ryżu, makaronu, soczewicy i cebuli z początku nas rozczarowała, rozgrzewający sos zadowolił nas w pełni uzupełniając potrawę. Rozstaliśmy się z przewodnikiem, uiszczając przy tym przyjacielskie napiwki, których nie było końca, bo: pensja nauczycielska jest niska, córka nauczyciela kończyła ponoć tego dnia roczek, jeszcze coś dla żony i nim zaczął wymieniać wujów i ciotki – odeszliśmy.

Skierowaliśmy się w stronę bazaru Chan al. – Chalili. Po drodze kilka razy ledwo uszliśmy życiem spod kół samochodów. Minęliśmy monumentalne meczety; sułtanów Hasana i Rifai'ego. Bazar okazał się targowym miastem w mieście, pełnym kolorowych straganów, zapachu shishy, przypraw, kawy po arabsku, kóz, perfum, spalin... Kwintesencja Kairu.

Weszliśmy w płynący, barwny tłum, gdzie nie wiadomo na czym skupić wzrok. Przed każdym straganem stoi sprzedawca, który robi chyba wszystko, żeby nakłonić klienta do obejrzenia towarów. Łatwo jest wyłączyć umysł i chłonąć atmosferę, z każdej strony ktoś odzywa się w innym języku, gdy przyznaję się do Polski, okazuje się, że najpopularniejszy w Egipcie jest Adam Małysz, tuż za nim Doda Elektroda. Na jednej z bocznych kairskich ulic odnaleźliśmy smak prawdziwego Egiptu uwięziony w szklance. Niepozorny sklepik z ukrytym staruszką za ladą oferuje świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, granatu, a co najdziwniejsze z trzciny cukrowej, która wygląda jak wysuszony patyk, a sok orzeźwia słodyczą.

Nie był to jednak koniec przygód, których zwieńczeniem miała być droga powrotna. Wsiadliśmy do taksówki, kierowca prowadził po kairsku, co oznacza styl Schumahera z elementami rodem z gry „Need For Speed”. Wciśnięci w fotele próbowaliśmy rozkoszować się arabską muzyką radia i śpiewem kierowcy. Jednak na trzypasmowej ulicy, zatłoczonej, pełnej gorąca i

odgłosów klaksonów, pewien człowiek wskoczył na maskę naszej taksówki. Przynajmniej tak to wyglądało z mojej perspektywy. Widocznie mężczyzna przemykał się między samochodami nauczony doświadczeniem, ale nie zauważył jadącej obok ciężarówki taksówki. Nasz kierowca wysiadł z samochodu. Ofiara podniosła się z ziemi. Wszyscy Arabowie z pobliskiej kawiarni wylegli na ulicę, zaczęli pocieszać i przytulać poszkodowanego. Mieliśmy nadzieję, że nic mu nie jest, ale też obawialiśmy się, co ci dzicy i nieprzewidywalni ludzie zrobią z naszym kierowcą. On zaś podszedł do potrąconego chłopaka, pocałował go po ojcowsku w czoło, powiedział coś, po czym wsiadł do taksówki i ruszyliśmy do hotelu. Byliśmy zaskoczeni, a kierowca zdenerwowany mruczał pod nosem coś, co jakiś czas zwracając się do nas po angielsku, mamrocząc: „...don't see... huh..stupid..”.

Długo po powrocie do kraju wciąż wspominamy ten incydent, mając nadzieję, że potrącony przez nas mężczyzna cieszy się dobrym zdrowiem.

Całą wyprawę do Kairu zawsze będę pamiętała jako magiczny spacer po tętniącym życiem, orientalnym i tak różnym od wszystkiego, co dotychczas widziałam mieście paradoksów. Muszę przyznać rację bohaterowi jednej z „Baśni tysiąca i jednej nocy”, który mówi: „Kto Kairu nie widział, ten nie widział świata. Proch na jego ulicach to pył złoty. Nil cudem jest prawdziwym, kobiety niczym czarnookie dziewice w raju. I jakże mogło być inaczej, skoro miasto to jest Matką Świata?”.

Autor: Julia Gierczyk

Źródło: [Arabia](#)